

Jakub Skrzywanek, nowa gwiazda polskiego teatru

MINISTRZE GLIŃSKI, DZIĘKUJĘ!

Po naszym spektaklu o homo- i transfobii przewodnicząca lokalnego PiS-u przyłączyła się do owacji na stojąco.

ROZMOWA Z
JAKUB SKRZYWANKIEM
dyrektorem Teatru Współczesnego
w Szczecinie

WITOLD MROZEK: Kim była Martyna? To m.in. jej zadedykowałeś Paszport „Polityki”.

JAKUB SKRZYWANEK: Moją przyjaciółką. Poznałem ją w 2019 r., kiedy w Teatrze Nowym Proxima w Krakowie tworzyłem spektakl „To my jesteśmy przyszłością”. Chciałem, żeby młodzi opowiedzieli mi o tym, jak widzą swoją przyszłość. Szybko zmieniło się to w gorzką opowieść o ich kondycji. Martyna była zawieszona pomiędzy systemem psychiatrii dziecięcej i systemem opiekuńczym.

To znaczy?

– Kiedy spotkaliśmy się przy spektaklu w Krakowie, była tuż po wyjściu z oddziału w Garwolinie i znajdowała się w Ośrodku Opiekuńczo-Wychowawczym na Parkowej w Krakowie.

Dzięki niej poznałem świat, którego dotąd zupełnie nie znałem. To świat nastolatków, młodych dorosłych, którzy nie mają dookoła nikogo, kto wziąłby na siebie odpowiedzialność za opiekę nad nimi; wtedy tę opiekę musi przejąć państwo. Ostatecznie Martyna sama stała się ofiarą tego systemu, bo i państwo w tej roli zawiodło. W te wakacje popelniła samobójstwo.

Dla mnie to bardzo trudna historia, bo mocno o nią walczyliśmy.

Martyna widziała na scenie swoją historię?

– Tak, była na spektaklu „Spartakus. Miłość w czasach zarazy”, który zrobiliśmy w Teatrze Współczesnym w Szczecinie. To był spektakl oparty na jej doświadczeniach opowiedzianych w reportażu „Piżamki” Janusza Schwertnera, ale był poniekąd stworzony też dla niej samej. Chciałem jej i sobie pokazać, że możemy zrobić wiele, by zmienić system psychiatrii dziecięcej w Polsce.

Myśleliśmy, że Martyna już nigdy nie będzie miała takiego kryzysu, że będzie już tylko lepiej. Dwa tygodnie przed śmiercią powiedziała mi, że już nie daje rady tego wszystkiego znosić i że „być może oni mają rację”.

Oni, czyli kto?

– Oni, czyli media, głównie publiczne, politycy, przedstawiciele Kościoła. „Być może mają rację” ci, którzy – myślała

Martyna – uważają, że rzeczywiście jestem chora, a to wszystko, co mnie spotyka, to kara za to, że jestem lesbijką.

Dla mnie więc historia Martyny to opowieść o tym, że słowa mogą ranić, a nawet odbierać życie. Nie zamierzam się z tym nigdy pogodzić.

Dużo takich historii poznałeś przy okazji „Spartakusa”?

– Bardzo. Uderza mnie, jak wielu rodziców podchodzi do mnie po spektaklach w foyer teatru i opowiada o zmaganiach osób LGBT+ i ich rodzin z systemem psychiatrii, ale też ze szkołą, z własnymi środowiskami. Nieraz to historie opowiedane, kiedy jest już za późno – przez rodziców, którzy stracili dzieci.

Dotknęliśmy realnego, powszechnego problemu, z którym władza nie chce sobie poradzić. Odwrotnie, wykorzystuje go cynicznie, by ugrać na nim w okrutny sposób kapitał polityczny.

Dlaczego podjąłeś decyzję, żeby to starsi aktorzy grali dzieci i nastolatków? I jak pracuje się z tak ciężkimi historiami?

– Działamy z tzw. ekspertami i ekspertkami. W przypadku „Edukacji seksualnej” Michała Buszewicza była to np. młodzieżowa rada ekspercka, która mówiła nam, jak młodzi chcieliby, żeby rozmawiać z nimi o seksie. W wyreżyserowanej przeze mnie w Teatrze Polskim w Poznaniu „Śmierci Jana Pawła II” tymi ekspertami i ekspertkami byli głównie medycy, lekarze, osoby zajmujące się kwestiami związanymi z biologicznym umieraniem.

A w „Spartakusie” – środowiska LGBT+, ale przede wszystkim psychiatrzy i psychologowie, którzy opiekowali się także nami podczas pracy. To oni od razu powiedzieli mi, że nie wy-

obrażają sobie, żeby w spektaklu w rolę nastolatków z oddziałów psychiatrii dziecięcej wcielił się nastolatek, a zwłaszcza nastolatki z doświadczeniem bycia osobą tęczą w Polsce. To mogłoby być dla nich zbyt traumatyzujące. Zdecydowałem, że wcielią się w nich nasi aktorzy.

W dość poważnym wieku.

– Nie chciałem udawać. Jestem zwolennikiem rozwiązania, w którym o sobie opowiadają na scenie ci, których ta sprawa dotyczy, ale już nawet dwudziesto- czy trzydziestolatkowie wcielający się w nastolatki, co często się robi, i tak przecież nie reprezentują tej grupy. Wpadłem na pomysł, żeby odwrócić chronologię, żeby 60-, 70-latkowie z naszego zespołu zagrali osoby nastoletnie.

Powiedziałeś w jednym z wywiadów, że proście było ci rozmawiać z księżmi o pedofilii w Kościele katolickim niż z lekarzami o patologii w ich własnych środowisku.

– Moje doświadczenie rozmawiania z przedstawicielami kleru o kwestiach pedofilii to głównie doświadczenie bycia asystentem Olivera Frlijcia przy „Kłątwie”. Byłem poniekąd odpowiedzialny za to, żeby umawiać Olivera z osobami, które reprezentowały ofiary pedofilii, lub tymi, które dawały punkt widzenia Kościoła. To, co się potem wydarzało, cała rozmowa, dało mi poczucie, że jest w Kościele pewna grupa, która jest w stanie zmierzyć się z tym tematem i merytorycznie nad nim dyskutować.

W kontekście psychiatrii dziecięcej znaleźliśmy takich chętnych mało, a środowisko lekarskie okazało się zamknięte. Lekarze nie chcą przyjąć do wiadomości, że być może pewne ich działania albo raczej brak działań obciążają ich współodpowiedzialnością za to, jak dzisiaj wygląda stan psychiatrii dziecięcej w Polsce. Jeśli spojrzymy tylko na to, kto głównie zabiera głos w sprawie psychiatrii, to są to media, rodzice i lekarze, którzy dziś nie pracują już w systemie.

Nie chcę, żeby to nie zabrzmiało jak próba zrzucenia odpowiedzialności

wylącznie na środowisko medyczne; wiemy, że lekarzy jest za mało. Pieńędzy również jest za mało. Ale oczekiwałbym, że to środowisko zabierze bardziej zdecydowany głos w tej sprawie, a jak na razie mam wrażenie, że głównie milczy, i to milczenie jest bardzo wymowne, szczególnie jeśli z pracy dziennikarzy czy rodziców dowiadujemy się też o licznych naruszeniach i zaniedbaniach ze strony personelu medycznych, o których pisał choćby Janusz Schwertner.

Jeździłście śladem Janusza Schwertnera i bohaterów jego reportaży o psychiatrii dziecięcej, jak tytułowa „Miłość w czasach zarazy” czy „Piżamka”? Miejsca, które opisuje?

– To było trudne, bo nie mogliśmy dostać się do miejsc takich jak oddziały zamknięte. Nawet Janusz, który jest dziennikarzem, miał z tym problem. Ale rozmawialiśmy z byłymi pracownikami, mieliśmy do dyspozycji materiały Janusza, ale też osób, które się zajmowały tematem.

Podczas pracy nad spektaklem wrócić do matek, które po raz kolejny musiały opowiedzieć o czymś tak przerażającym jak samobójstwo dziecka. Nie bałeś się, że to doprowadzi do retraumatyzacji?

– Psychologowie i psychiatrzy, specjaliści z zakresu samobójstw, konsultowali niemal każdy nasz ruch i dbali o to, żeby wyeliminować ryzyko błędów. Dla mnie to było jedno z najtrudniejszych doświadczeń życia. Siadasz naprzeciwko matki, która straciła dziecko w wyniku wykluczenia, homofobii, braku wsparcia ze strony państwa. To nie zostawia wątpliwości.

To jest największy problem debaty publicznej, że politycy, głównie prawnicy, odwołują się do ogólników. Żaden z polityków, którzy stosowali homofobiczne narracje wobec osób LGBT+, próbując je zdehumanizować, zrobić z nich ideologię, wykorzystać w cynicznej grze politycznej, nie odważył się usiąść naprzeciwko takiej matki i z nią podyskutować. To dla mnie świadectwo tchórzostwa i cynizmu, z jakimi te osoby uprawiają politykę.

Nikt u nas nie prosi o zgodę na równouprawnienie osób LGBT+. My to po prostu tu skutecznie udzielając ślubów w teatrze. Nikogo nie zamierzamy się prosić

Jakub Skrzywanek

• Wystawił „Mein Kampf” według książki Adolfa Hitlera i „Śmierć Jana Pawła II” – rekonstrukcję umierania polskiego papieża. Pokazał też na scenie rekonstrukcję gwałtu Romana Polańskiego na Samancie Geimer. Paszport „Polityki” odebrał w tęczowym stroju ludowym.

• Pod jego dyrekcją Teatr Współczesny w Szczecinie, na krańcu Polski, stał się jednym z najważniejszych miejsc na kulturalnej mapie kraju. – Mam dość naszego pokoleniowego narzekania – mówi urodzony w 1992 r. Jakub Skrzywanek.

W finale na scenie atmosfera zupełnie się zmienia. Jest radość, odbywają się śluby realnych osób nieheteronormatywnych, które w Polsce nie mają prawa do małżeństwa. Jak wpadliście na to, by po tak ciężkim materiale dokumentalnym zakończyć całość tak radosną sceną?

– Na studiach pod kierownictwem prof. Grzegorza Niziołka stworzyliśmy razem z moim rokiem reżyserii krótko trwający kolektyw, który nazywał się „Antyteren”. W ramach niego zorganizowaliśmy Dzień Cudów. W formie happeningu stworzyliśmy w przestrzeni publicznej wszystko to, co nie mogło się wydarzyć wtedy w Polsce. To był chyba 2017 roku. Radośnie przywitaliśmy uchodźców z Syrii na dworcu w Krakowie. Odsłoniliśmy tablicę pamięci Szmula Wassersteina za odwagę o mówieniu o zbrodniach, które Polacy popełniali na ludności żydowskiej. No i na koniec odegraliśmy ślub pary LGBT+. Okazało się to bardzo wzruszające, bo wielu z naszych przyjaciół jest w parach nieheteronormatywnych.

Wiedziałem, że „Spartakus” nie może się skończyć samobójczą śmiercią Wiktora, głównego bohatera reportażu. Miałem przekonanie, że jeśli to pokażemy, będzie to oznaczało spełnienie marzeń ministra Czarnka czy prezydenta Dudy, żeby osób LGBT+ w Polsce nie było. Zainspirował mnie fragment reportażu Janusza, w którym Wiktor, który nie poradził sobie z rzeczywistością i w konsekwencji zmagania się z sys-

temem psychiatrii dziecięcej, skoczył pod pociąg metra w Warszawie, mówi, że jego marzeniem było wziąć ślub ze swoim chłopakiem Kacprem.

Pomyślałem, żeby takie śluby zacząć organizować w teatrze. Jedynymi osobami, którym od początku spodobał się ten pomysł, były matki, m.in. Wiktora. Wszyscy inni się tego bali.

Ślubów udzielacie niezgodnie z polskim prawem.

– To ważne. Zrobiliśmy rekonstrukcję ceremonii, która odbywa się w urzędzie stanu cywilnego, jedynie z dwoma przesunięciami. W prawdziwej ceremonii jest formułka, że wszyscy w Polsce są równi wobec prawa. My zaś podkreślamy, że jedynie wszystkie osoby heteroseksualne w Polsce mają równe prawa. A kiedy już przejdziemy całą formułkę, dodajemy, że nasz ślub, który odbywa się w „publicznej instytucji kultury”, odbył się niezgodnie z obowiązującym prawem.

Kto ostatnio wziął ślub na scenie?

– Ostatnio mieliśmy do czynienia ze wspaniałą uroczystością. Witek i Michał poznali się na wsi pod Bolesławcem. Na początku stycznia wzięli u nas ślub w towarzystwie 60 osób, które przyjechały z nimi z Dolnego Śląska. W pierwszych rzędach siedziały ich mamy. Było jak na ślubie: wzruszenia, płacz, wiwaty, prezenty. Z teatru wszyscy – ja również zostałem zaproszony – udali się na wesele, które odbyło się na legendarnym statku „Ładoga” zacumowanym przy Wałach Chrobrego.

Nikt u nas nie prosi o zgodę na równouprawnienie osób LGBT+ w Polsce. My to po prostu tu uskuteczniamy. Nikogo nie zamierzamy się prosić.

Na waszym spektaklu była przewodnicząca szczecińskiego PiS-u. Co powiedziała?

– Po spektaklu wytrzymała na siedząco z 15 sekund, po czym przyłączyła się do owacji na stojąco. Może to naiwne, ale myślę, że to było szczerze. Gest został zauważony i radna próbowała się potem od niego nieco zdystansować. W mediach społecznościowych tłumaczyła, że chodziło jej o ogólną jakość naszego teatru. Ale kiedy pojawiły się głosy o tym, że to, co robimy, „to nie jest sztuka” – radna stanęła po naszej stronie. Oznajmiła, że to, co robi Teatr Współczesny, ma niesamowite walory artystyczne. I że ona nigdy nie zgodzi się z głosami, które próbowałyby wpływać na działalność teatru.

To był moment, w którym zobaczyłem „Wolne Miasto Szczecin”.

To było jedno z najtrudniejszych doświadczeń życia. Siadasz naprzeciwko matki, która straciła dziecko w wyniku wykluczenia, homofobii, braku wsparcia ze strony państwa

Co to za idea?

– Propaguje ją Trafostacja Sztuki, miejska instytucja kultury prowadzona przez Stanisława Rukszę. Z jego inicjatywy na Galerii TRAF0 zawisnął kilka lat temu tęczyowy neon „Wolne Miasto Szczecin”.

Mieszkam tu już ponad rok i faktycznie mam poczucie, że Szczecin to miasto, w którym mamy wolność twórczenia bez wpływów politycznych. Myślę, że takiej osoby jak małopolska kuratorka oświaty Barbara Nowak nikt by nigdy nie odważył się posadzić w szczecińskim kuratorium. A nawet jeśliby się tam znalazła, byłaby ignorowana jak radny Dariusz Matecki, medialny żołnierz Zbigniewa Ziobry.

To znaczy, że program Teatru Współczesnego nie był do tej pory atakowany przez miejscowych polityków? Śluby jednopłciowe na scenie, edukacja seksualna w teatrze, krytyka Kościoła...

– Z małymi wyjątkami – nie był. I to mnie zaskoczyło.

Jakiś czas temu wdałem się w internetowy spór z posłem Januszem Kowalskim, który w swojej wypowiedzi zepchnął odpowiedzialność za samobójstwa nastolatków na środowisko LGBT+. Kowalski wzywał nawet szczecińskich polityków Solidarnej Polski, żeby zrobili porządek ze Skrzywankiem. Nikt na ten apel nie odpowiedział.

Dlaczego tak się dzieje?

– Zastanawiam się. Może politycy Zjednoczonej Prawicy mają tyle własnych problemów, że nie mają siły angażować się w spory, które są z góry przegrane? Bo oczywiście ten spór w Szczecinie jest dla nich przegrany – PiS i Solidarna Polska to tutaj marginalne siły polityczne.

W Szczecinie suweren przemówił: „Spartakus” się wyprzedaje na pniu. Ten spektakl widziało dotychczas 7 tys. ludzi, w przeważającej części – mieszkańek i mieszkańców Szczecina. Staraliśmy się, żeby do końca sezonu zobaczyło go 15-20 tysięcy. To będzie już ok. 5 proc. mieszkańców miasta.

Swoją dyrekcję w Szczecinie rozpoczęła „Edukacją seksualną” Michała Buszewicza. Z tym spektaklem, w którym teatr próbuje nadrobić braki systemowej edukacji seksualnej, objechaliście Wałcz, Ustronie Morskie, Tuczno, Maszewo, Nową Sól. Poniekąd za pieniądze od ministra Glińskiego, z programu ministerialnego „Teatr Polska”. Jak to w ogóle możliwe, że dostaliście na to państwowe fundusze?

– Nie wiem. Jestem szczęśliwy i chciałbym na waszych łamach podziękować ministrowi Glińskiemu, że „Edukacja seksualna” mogła zagościć pod strzechy. To jedna z najlepszych decyzji, jaką minister podjął w ostatnich latach.

A odbiór był świetny. Bo społeczeństwo, niezależnie od miejsca zamieszkania, statusu ekonomicznego i kulturowego, jest zainteresowane czułą,

empatyczną oraz poważną rozmową o tym, co się dookoła nas dzieje.

Dlaczego?

– Sam zadawałem sobie pytania, czy w kontekście wojny w Ukrainie i sytuacji politycznej w Polsce mamy siłę na podejmowanie takich tematów jak psychiatria dziecięca albo czy nie idziemy za daleko, chcąc namówić nauczycieli, szkoły i rodziców, żeby wysyłali dzieci na spektakl zatytułowany „Edukacja seksualna”. Okazało się, że nasze obawy były nieuzasadnione.

Oczywiście, baliśmy się „lex Czarnek”, które chciało odciąć szkoły od świata zewnętrznego, ale ustawa upadła akurat w trakcie naszej drugiej próby generalnej.

Jesteś dyrektorem w Szczecinie od roku – na swojego zastępcę do spraw artystycznych powołał cię Mirosław Gawęda. Jak to zmieniło twoje spojrzenie na teatr?

– Bardzo mocno. Znajomi odradzali mi przyjęcie tej posady, sugerowali, że nie ma sensu poświęcać własnej kariery dla dyrektorowania. Ale miałem dość tego pokoleniowego narzekania na to, jak źle jest w instytucjach. Poza tym chciałem zobaczyć, czy zmiana jest możliwa. I dziś z pokorą podchodzę do wielu spraw. Teatr to zakład pracy zatrudniający ponad sto osób z bardzo różnych pokoleń, o różnych poglądach i zaplecach, w którym ścierają się często rozbieżne interesy.

Druga sprawa: frustruje mnie, kiedy widzę, jak wielką pracę wykonują te osoby, otrzymując za nią niewiele więcej niż najniższa krajowa. To moja największa przegrana po tym roku, niewiele udało mi się jeszcze w tej sprawie wskórać.

Czyli „Wolne Miasto Szczecin” tnie wydatki na kulturę?

– Tak, niestety, I to nie pierwsze cięcia. W momencie, kiedy większość podmiotów kultury otrzymuje wsparcie od swoich organizatorów, nam zabrano 400 tysięcy złotych. Co już w przypadku naszej instytucji powoduje, że na działalność: edukacyjną, artystyczną i każdą inną zostaje nam ok. 4-5 procent naszej dotacji stałej. Uważam, że jest to niesprawiedliwe i niegodne, w jakich warunkach dzisiaj pracujemy. Myślę, że to najważniejsze, żeby ten głos przebił się do władarzy Szczecina.

Co będziesz robić w teatrze w 2023 r.?

– Pod koniec lutego w Szczecinie pokażemy „Sen nocy letniej”, który współreżyseruję z Justyną Sobczyk. Opo wiemy o asystenturze seksualnej. Nie wiem, czy wiesz, ale osoby z niepełnosprawnościami z Polski jeżdżą do pięciu krajów Unii Europejskiej, w których refundowane są spotkania z seksworkerką dla takich osób. Po tem będę się zajmował tematem wojny. Trzy spektakle wokół kwestii, czym wojna jest, będę robił we Wrocławiu i w Tallinie. ●